

665
6

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

Z TEATRU

Pułapka „Zemsty”

O „Zemście” Aleksandra Fredry napisano i powiedziano zbyt wiele, by bawiła jeszcze kogokolwiek „nowa”, „odkrywcza” interpretacja fabuły tej komedii, wystawionej po raz pierwszy we Lwowie 17 lutego 1834 roku. Cała treść owego sporu o mur graniczny sprowadza się przecież do stosunków międzyludzkich, do gry prowadzonej przez postaci, a więc w konsekwencji — do sztuki aktorskiej. Najważniejszym budulcem każdej inscenizacji „Zemsty” stać się muszą zatem aktorzy.

Widz, który zna na pamięć większość kwestii z obowiązkowej lektury szkolnej, a przynajmniej znać powinien, oczekiwać będzie wirtuozerskiego popisu. Wspaniała tradycja polskiego aktorstwa utwierdza te oczekiwania, a zapisane złotymi głoskami w historii role Jerzego Leszczyńskiego, Ludwika Solskiego, Juliusza Osterwy, Stefana Jarczaka, Mieczysława Frenkla czy Kazimierza Kamińskiego raz po raz powracają w opisach jak niedościgłe wzory postępowania z... Fredrą.

Teatr Ludowy sięgnął po „Zemstę” za sprawą Stanisława Igara, znakomitego aktora, nieodrodzonego ucznia PIST-u i Aleksandra Zelwerowicza. Przedstawienie stanowi dowód, jak w ślad za upodobaniami swego mistrza Igar ukochał postać Cześnika. W tym Polonusie, o którego charakter poloniści wielu pokoleń wiedli ideowy spór, taniąc sobie nawzajem pióra i przelewając morze atramentu, zawarł reżyser nowohuckiej „Zemsty” kwintesencję swego myślenia o fredrowskich charakterach. Cześnik bowiem w zaskakującej interpretacji Tadeusza Szanieckiego, brutalnie dosadny i ostry, jest typem owego przeciętnego szlachcica „z siarki i saletry” któremu co chwila krew uderza do głowy.

Jest jednocześnie śmieszny, kiedy całym konglomeratem fikcji tytułarnych i majątkowych próbuje wunąć się nad sąsiada. Pańskość tego brata-szlachcica staje się od razu podejrzana,

choćby w stosunku do Dynalskiego. W inscenizacji Igar nie jest to dystans, jaki oddziela szaraczka od karmazyna, ale wręcz przeciwnie: Dynalski okazuje się zasiedziatym rezydentem, używanym do domowej posługi. Zdzisław Klucznik, grając safandulę i sympatycznego sklerotyka, potrafił rozśmieszyć każdym niemal swoim odezwaniem.

Nie ma „Zemsty” bez Papkina, podobnie jak nie ma Cześnika bez Rejenta. Papkin, grany przez doświadczonego Tadeusza Kwintę, zachował tylko giętkość tego uzdolnionego ruchowo aktora. Przybranie jednakże maski Arleкина-parodysty wiodło do scenicznej kłeski tej postaci. Papkin Kwinty to blaznujący wycirus, typiacy okiem do widza kabotyn, mający wprawdzie pretensje do prawdziwego, wyższego tonu, ale nie potrafiący w ten ton ani raz uderzyć. Dlatego nie wzbudza wesołości w tyradach, których lektura budzi zawsze śmiech, pozostając cały czas — jak w scenie pisania listu — statystą z innej sztuki.

Podobnie Rejent (Władysław Bułka) nie stał się ani na chwilę pełnoprawnym partnerem Cześnika. Rysując Rejenta jako kreaturę, coś między małym szlachciurą i drobnym palestrantem chciwym na grosze, nie zdecydował się aktor na żadną charakterologiczną dominację. Z pomieszania cech, których Fredro tej postaci nie poskapił — Rejent jest bowiem postacią jeszcze lepiej napisaną od Cześnika — powstała podejrzana nijakość. Na nie zdążył się liczyć reżyserskie „podpórki”, których Igar Bułce nie szczędził, jeśli postać była pusta jak dzwon.

Nieporozumienie przyniosła też postać Podstoliny, granej przez Barbarę Stesłowicz, która w ostatnich dwóch sezonach dała się poznać z najlepszej strony. Tej kobietę z epoki stanisławowskiej, wydekoltowaną, wyfiokowaną i wysznurowaną, obdarzoną zbyt grubą krechą jednoznaczności kokoty. Wędrująca z

rąk do rąk starzejąca się dama utraciła w jednej chwili zarówno wpisane w jej charakter erotyczne wyrafinowanie, jak i przewrotność kobiety-gracza.

Młodzi — jak to zwykle w „Zemście” bywa — wypadli błado. Wprawdzie Wacław (Andrzej Fryga) usiłował na początku przekonywać o swoim doświadczeniu miłosnym, niby Gucio ze „Ślubów panieńskich”, ale był to aktorskie deklaracje bez pokrycia, skoro do końca paradował już tylko po ogrodzie i domu Cześnika w bogatym, szlacheckim(?) ubiorze. Klara (Katarzyna Lis) była tak niewidoczna, że przypomniła kwestię Cześnika:

„A jeżeli starościanka pójść nie zechce do ołtarza jest tu druga starościanka tej za ciebie pójść rozkaże...”

Jedna rola nie wystarcza, by spokojnie słuchać tekstu do końca. „Zemstę” gra się w Polsce bowiem i za rzadko, i za często. Za rzadko w zespołach, które mają do niej obsadę, za często w teatrach, które nie mogą temu arcydziełu aktorskiej partytury podołać. Teatr Ludowy na „Zemstę” obsady po prostu nie znalazł. Ambitnie zamierzył, znajdując dobrego reżysera i parę ciekawych scenografów (Józef Napiórkowski i Ryszard Stobnicki). Reszta wydawała się prosta. Na tym właśnie polega pułapka „Zemsty” i zemsta profesjonalnego mistrza nad zespołami, które go nie szanują.

„Trzeba przyznać, że o ile recenzent teatralny ma w swoim zawodzie do przebycia ciężkie chwile, o tyle miewa w zamian wspaniałe odszkodowania. Do takich należy widzieć dobrze graną „Zemstę” — słowa jednej z recenzji Tadeusza ZELEŃSKIEGO-BOYA uświadamiają brak takich nadziei w teatralnym Krakowie, gdzie od lat „Zemsta” gości albo w Nowej Hucie, albo w „Bagateli” (ostatnia inscenizacja Mieczysława Górkiewicza w roku 1977).